Nro 3.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 28 stycznia 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 14 stycznia 1847.

Stroje damskie. Tym razem zaczniemy od sukień balowych bo te są dzisiaj głównym artykułem; wymieniamy tu zatem godniejsze wspomnienia. Krepowa, różowa suknia o trzech spodnicach z których każda korunką obszyta; stanik gładki i kończasty, draperiami ubrany; rękawy krótkie dwa razy korunką obszyte; włosy przyozdobione bukietem z róż. Suknia z błękitnego axamitu, której spodnica u dołu i na przodzie haftowana perłami białemi; stanik wysoko zachodzący, wyłogi w kształcie berty, haftowane perłami; rękawy bardzo krótkie przyozdobione sznurami u których końca wiszące żołędzie śrebrne spadają aż na łokieć, na głowie błękitne axamitne czółko z długiem białem piórem. Biała atłasowa suknia u której spodnica ubrana dwoma szlakami z szerokiej krepiny przerabianej śrebrem; stanik gładki, bardzo wycięty, wkoło obszyty krepiną która bertę formuje; czółko z zielonego axamitu ubrane białem piórem w zielone cienie. Suknia z afrykańskiego axamitu, której spodnica obszywana aż do kolan krepą w rurki układaną; stanik wycięty i kończasty ubrany rurkami i fontaziami z ponsowej wstążki; rękawki bardzo krótkie, podobnie jak stanik garnirowane; na głowie ubranie z ponsowego axamitu i złotej frezli. Biała morowa z dwoma spodnicami suknia; pierwsza spodnica obszyta angielską korunką, druga bez żadnego obszycia, ale podpięta z prawego boku trzema bukietami z ponsowej kamelii; stanik gładki mocno gorsowany, z korunkową bertą, z przodu bukietem przypiętą. Różowa atłasowa suknia z tuniką z gładkiej różowej krepy otwartą po obu bokach przez całą swą długość; końce zaokrąglone, wkoło perłami wyszywane; stanik barzo wycięty, kończasty, ubrany draperią z krepy; rękawy bardzo krótkie, obszyte perłami; na głowie ubranie z jedwabnej różowej gazy w kształcie rulonu perłami okręconego.

Zarękawków używają teraz więcej niż poprzedzającej zimy; futra w ogólności bardzo noszą; nietylko płaszcze okładają niemi, ale wizytki i różnego rodzaju płaszczyki.

Stroje męskie. Strojem na eleganckie wieczory jest frak czarny, u którego stan krótki, wyłogi i kołnierz wypukłe; przodki tak wązkie że się znacznie nieschodzą na piersiach. Kamizelka prosto krajana. Spodnie obcisłe.

Płaszcze najulubieńsze są z rękawami i tak szerokie że się dobrze niemi owinąć można; podszywane i mocno watowane bardzo są ciepłe; mimoto jednak są lekkie i wygodne, przy niektórych są kapiszony.

Rycina przedstawia: suknię axamitną fioletową, ubraną korunką czarną we dwa rzędy, stanik wycięty, gładki, berta korunkowa; paletocik axamitny zielony, spięty od szyi do stanu, przytem w około gronostajami obłożony, rękawy długie. Druga suknia axamitna, spodnica gładka, stanik gładki, wycięty, we trzy szwy; berta z korunki angielskiej; korona z liści zielonych na głowie Trzecia suknia atłasowa popielata, ubrana krepinami z przodu, stanik wysoko zachodzący, spięty z przodu, z dwoma zaokrągloneml końcami i fałdowany od ramion aż do końców a przez środek ubrany krepinami; rękawy długie, obszyte krepinami, drugie rękawy w rurki; czepek krepowy, dno układane w rurki, spięcie z różowych wstążek atłasowych i długich szarf krepowych, spadających na ramiona. Ubiór męski: czamarka obłożona futrem.

Osobno na rycinie wyobrażono: różowy atłasowy kapelusz, krótki i zaokrąglony przy twarzy, przystrojony bukietem róż przypiętym z boku i

półza słonką z angielskiej korunki. Czepeczek z czarnej korunki, okrągły przy twarzy, z różą przypiętą na boku. Drugi czepeczek mały, okrągły, obszyty korunką; ubranie z żółtych i czerwonych wstążek, formuje podłużne pukle po obu stronach.

Słów kilka do dziennika mód,

przez

MARIE Z CH. P.

Jak też to miło spodziewać się!... ale jak nie miło być zawiedzionym!... Ja, ledwie że nie cały rok upłyniony doznawałam co dwa tygodnie tego uczucia, a zemną tyle osób ile było prenumerantów dziennika, tych co nie tylko trzymają go dla ujrzenia pięknych sukienek, ale też i dla tego by przecież choć czasem przeczytać jaką myśl świeżą. Wszakże każdy mi to przyzna, iż ubrać się ładnie i przeczytać coś ładnego... choć są tak przeciwne sobie dwie przyjemności, mogą przecież iść z sobą w zgodzie... A gdy nasz dziennik dostarczał nam środków do dogodzenia sobie w tych dwoch gustach, nie żaliliśmy się na niego. Wprawdzie, może to nie jest winą redakcii, lecz obojętnością pisarzy, a może też rok zeszły tak nie szczęśliwy z tylu względów... i dla dziennika wypadł niepomyślnie. Próżnia która w nim panowała, kazała się lękać o skon jego... jednak żyje jeszcze... dzięki zapewne jego głównemu celowi, to jest: obrazkom mód, które istotnie są bardzo ładne i zadowalniające.

Jednak gdyby obok rycin i do przeczytania było co zajmującego, możeby powoli nasze panie galicijskie odwróciły się od żurnali nie polskich, a przynajmniej umieściły na swych budoarach i literackich stolikach jedne obok drugich.

Już w początku okazania się tego pisemka słyszałam wiele głosów podchlebnych dla niego. Lubiliśmy go jak każdy prawy człowiek lubi co jest dobre, swoje, krajowe i w języku ojczystym pisane. A lubo ten lekki utwor można tylko do miłego dziecięcia przyrównać... przyjęliśmy go uprzejmie, bo urodzone w Galicii na naszej zawsze nam drogiej ziemi.. i patrzaliśmy nie tylko z zadowolnieniem na to czem jest, ale z nadzieją jego wzrostu, powabów i siły z latami. Lecz niestety! z każdym rokiem siły jego zamiast wzrastać, upadają. I jeżeli nasi literaci nie użyczą mu swej podpory i opieki na dal... uśnie podobno na wieki to pieszczone dziecię, z żalem wszystkich, a szczególniej też z żalem kobiet.

Tak jest... z żalem kobiet; wszakże to jest nasze pismo, bo poświęcone modzie... dla której płeć nasza tyle prześladowania cierpi. I dla czegoż też nasi literaci nie starają się dać nam co ładnego do przeczytania, abyśmy się samemi nie zajmowały obrazkami?...

I czyż można nawet przypuścić, ażeby nasi Galicijscy autorowie tak byli nie grzeczni dla kobiet i nic nam nie przesyłali do przeczytania w dzienniku nam wyłącznie poświęconym?... A jednak tak jest. Mówiąc o dzienniku mód iż nam jest wyłącznie poświęcony... czyż nie mam słuszności?.. Wszakże, chociaż nie jedno męskie oko chciwiej czasem zajrzy na krój fraka i surduta jak kobieta na suknią; jednak zawsze tylko pod płaszczykiem naszej płochości i na nasz karb, wszystkie przecudne utwory mody żyją swobodnie w świecie.

Dla czegoż nasz przyjemny i obfity powieściarz J. D. umilkł... jak gdyby kamień w wodę rzucił; przynajmniej w dzienniku już od dwoch lat nieżyje? I pan A. B. niekoniecznie potrzebowałby podróżować po kraju... tylko swej myśli pozwolić wycieczkę, aby nam choć już i poważniejszej treści co napisać. Świały i dowcipny L. D. B. co to o jednym słowie umie cały napisać artykuł, tak iż się jego c o ś koniecznie j a k o ś podoba i podobałoby się jeszcze bardziej g d y b y napisał nam czasem co do dziennika. I od Wadowic pamiętali częściej o nas. I pan W. P. który z Drezna obrazek nam przywiózł, gdyby chciał, znalazłby równie co ładnego i w Galicii, jak nam tego dał dowód nieraz. Lecz nasi panowie literaci do umysłowych swych zalet wcale nie łączą grzeczności, kiedy tak zapomnieli o nas. Jeden tylko pan K. U. był nam dotąd stały.. to też i my mu wdzięczne jesteśmy bo wiele z jego poezij a szczególniej Lazarę umiemy na pamięć.

Wszakże przymawiając się tak oczywiście imieniem wszystkich kobiet, niechciałabym zabierać ważniejszym pracom chwil drogich, bo gdyby tylko każdy z piszących Galicianów jednym artykułem zbogacił dziennik, jużby było przyjemnie urozmaicone to pisemko. *)

Tłómaczenia w *Rozmaitościach*, tłómaczenia w dzienniku. . otoż i koniec pism naszych czasowych, (bo dotąd czasopism Ossolińskich nie był dla wszystkich przystępny); jakbyśmy już pisać i myśleć sami nieumieli tak się karmimy tłómaczeniami, a gdy za granicą nasi współrodacy piszą a piszą, Galicia drzymie teraz w literaturze.

*) Redakcia od jednych otrzymała już artykuły, od innych zaś zapewnienie niezawodnej pomocy. Osobliwie z piszących wymienionych powyżej żaden nie usunął się w tym roku od udziału w tem pismie.

Uchwyćmy pióro... żywmy się własnym zasobem i uczuciami swojemi. Doprowadźmy do tego aby kiedyś nas tłómaczono nie my zawsze kogoś.

Wszak Włochy sławne zawsze, bo są szkołą sztuk pięknych, i z tego to szczytu sławy nikt ich dotąd nie strącił. Przebrzmiało wiele u nich, a to im pozostało.. na co z zazdrością jeszcze i teraz patrzą inne postronne narody.

I my do dawnej w wielkim zakresie przodków naszych sławy dorzućmy listki lauru uszczknione na polu jakie obsiewać teraz możemy. A w tych latach gdzie wymuszone kwitną oliwki, siejmy nasienie moralności, sadźmy drzewka sztuk pięknych, a może kiedyś i inne się przyjmą

Lecz wracam do dziennika bo dzisiaj jego sprawa się toczy. Jakby to było przyjemnie, abyśmy mieli pisemko wspólnej, lekkiej pogadanki. Jeden powiedziałby to, to drugi owo, i utworzyłby się niby wielki salon towarzyskiej rozmowy pisemnej.

Wprawdzie biblioteka zakładu Ossolińskich zagraża większym upadkiem dziennikowi, skoro i beletrycznej treści artykuły umieszczać będzie; lecz dla czegoż koniecznie z korzyścią jednego pisma, drugie upadaćby miało? Właśnie to dowodzi oświaty w kraju, gdy perjodyczne pisma wznoszą się jedne obok drugich, lecz nie upadają. Wszakże, kto ma rozległy ogród, wystarczą mu wspaniałe georginie, malwy, kaktusy i piwonie, by niemi stroić wielki ołtarz i niezabraknie róży i rezedy, hiacyntów i fiołka na gotowalnią damską.

Czyż podobna ażeby prócz znajomych nam światłych i z wdziękiem piszących autorów, nie znalazło się pomiędzy naszą młodzieżą kilku takich którzyby byli wstanie napisania ładnej powiastki lub jakiego ulotnego ułamka? brakuje zapewnie chęci nie zdolności, a może też śmiałości. A przecież, nawet próba zdolności swoich, powinna być milsza rodakom jak tłómaczenia. Wszakże czasem i dobre tłómaczenie jakiego wyborowego kawałka może zająć miejsce obok originalnych utworów, ale nie często, i nie lada bzdurstwo. Wreście mamy już *Rozmaitości* tym gatunkiem pism zapełnione.

A teraz obracam się do kobiet Galicianek; szukam nad Sanem autorek... lecz jakież tu pustki! A gdy nad Wisłą, Wartą i Wilią wyrastają pomiędzy literackiemi dęby i jasiony, smukłe topole i wonne akacie wznosząc swe czoła ku światłu Apolina.. tu, boi się zapewne płeć piękna twarz swą obrócić ku jego promieniom, aby nie ogorzeć.

Dla boga! moje panie, nie wierzcież też tak bardzo w pana Kraszewskiego, który w swej latarni czarnoxięskiej tak skopcił kobiety autorki, tak ich unieszczęśliwił, iż im nawet odmówił serca.. i ledwie że nie głowy. Ale to fraszka! bo i bez serca i bez głowy obchodzą się ludzie. Szczególniej też bez głowy, podług niektórych zdań starej daty, kobieta obejść się może. Ale co bez kochanka to trudno!?!... A pan Kraszewski w latarni czarnoxięzkiej wyraźnie powiedział ustami Augusta i Stanisława, iżby się w kobiecie autorce zakochać niemożna??... Co za okropny i odstraszający od autorstwa wyrok... gdyby był prawdziwy. Lecz ręczę iż sam pan Kraszewski, chociaż tak niebacznie rzucił klątwę na autorki... gdyby która z nich ładna, młoda i dowcipna, chciała go przekonać że ma serce... pewnieby sprostował swój wyrok, złamał ostre piórko u nóg jej, i pocałował szczerze... w umaczany w atramencie paluszek.

A wreszcie jeżeliby tylko taką stratę autorka poniosła jak Natalia w Stasiu... to prawdę powiedziawszy nie byłoby się o co kłopotać. Czyż bowiem warto żałować straty płochego serca, które pragnie samo nie wie czego. Pan Kraszewski chcąc popierać faktami swoje zdanie iż autorki kochać niemożna, wywozi swego bohatyra od cnotliwej żony do Warszawy w zaszczytnym celu, szukania awanturek miłośnych. I tamto dopiero odprowadza go od autorki, do... kawiarki, dziewczyny głupiej, prostej, płochej, lecz ładnej.

Proszęż sobie wystawić jak okropną Natalia poniosła stratę w kochanku tak szanownych zasad, z uczuciami tak wzniosłemi?... I żeby jeszcze bardziej udowodnić iż autorki kochać niemożna, przedstawia nam pan Kraszewski w pieszczotach głupiej i próżnej Karusi czczość okropną, nudy i pogardę które przy niej napadają Stasia... a przy tem mimowolnie maluje obraz może ze zbyt gorącą wyobraźnią, exaltowaną, lecz zawsze z tem samem szlachetnem, kochającem sercem autorkę Natalią która goni za marą sławy, poznawszy obłęd miłości dla istoty niegodnej pojąć jej wzniosłych uczuć... jaką był Staś. Przelewa ona na papier swój żal, swoje marzenia i uczucia.. i to ją nieuszczęśliwia, nie doprowadza do celu. Wszystko to być może prawdą; lecz jednak nie jest jej winą, ani autorstwa; bo gdyby w Stasiu znalazła więcej stałości a w ludziach mniej żółci i zazdrości, byłaby szczęśliwą i kochanką i autorką.

Pomimo chęci pana Kraszewskiego charakter Natalii przegląda przez szyby latarni czarnoxięskiej bardzo korzystnie, i w tenczas nawet kiedy została

autorką; a obok niej, obrazy hrabiny, kawiarki i Matyldy wyglądają jaskrawo, pstro lub mdławo. Gdyż i obraz Matyldy mdły i zatarty, wcale nieinteresuje, chociaż jej nic zarzucić nie można, chyba tylko że należała do rzędu kobiet, które w dobroduszności swego serca kochają same niewiedząc za co... jedynie tylko z urzędu małżonki... takich Stasiów jakim był jej.

Ale jeżeli Matyldę pomijamy z uszanowaniem, nierobiąc jej żadnych zarzutów... to jednak z okazii jej, możnaby się użalić na pana Kraszewskiego i zrobić mu słuszny zarzut iż po cichą i spokojną żonę i matkę, wysłał Stasia w kraj obcy, jak gdyby w Polsce takich kobiet nieznalazł. Lecz niech wybaczy pan Kraszewski, bo jeśli gdzie, to pewnie w tym narodzie z którego nam przywiózł Matyldę, jest więcej kobiet kokietek i niekontentujących się jednem przywiązaniem, jak u nas.

Są one mniej exaltowane to prawda, ale za to nierównie płochsze i lekkomyślniejsze, podług zdania całego świata. Być może iż my, żywszem obdarzone uczuciem, gorętszą namiętnością i exaltowaną wyobraźnią, mocniej niekiedy obłąkać się możemy i zejść z drogi cnoty. Lecz to codzienne, zwyczajne kokietowanie, bez którego one żyć niemogą, ta poufałość z mężczyznami, ta chęć znajdowania się zawsze w ich towarzystwie i płoche obejście się z nimi, u nas zaledwie byłoby darowane pokojówce.

Zapewne że i pomiędzy niemi są wyjątki z powszechnej reguły. Jednak te ich wieloznaczące wesole niby nic, które *en passant* rzucają w życie płci drugiej, nierachowane im wcale na karb obyczajności... zgubiłyby każdą z nas dobrze wychowaną Polkę. A one broją sobie wygodnie pod płaszczykiem szczerości, otwartości i nieżenady im właściwej. Omylił się wiec pan Kraszewski jeżdżąc dla nas w obce strony po wzory.

Pisząc te słów kilka niemiałam zamiaru tak znakomitego naszego pisarza krytykować; ja, której zaledwie kilka słów w porównaniu z tak obfitym autorem w świat wysłane, i która należy istotnie do wielbicieli większej części dzieł jego. Lecz chciałam raczej wytknąć niesłuszność jego dla nas, wykazaną w tem dziele, którego pierwsze cztery tomy czytaliśmy z największem zajęciem, ale za to, jakby za karę że w następujących czterech tomach tak na autorki powstał i wyszydził, nieznalazła w nich publiczność takiego upodobania jak w pierwszych. A szczególniej też w historii pana Hersza i pani Herszowej nikt niezasmakował.

A zatem... piszmy i my kobiety; lecz nie często i nie wiele, abyśmy mówiąc za dużo nie czyniły za mało. Wszakże gdyby nawet która z kobiet niechciała pisać zastraszona ukazanym fantomem anomalii w przeznaczeniu kobiet... niech sobie raczy przypomnieć iż wiele z płci naszej pisało, a pamięć ich czcią otoczona. Jeśli zaś lęka się samotni serca (o czem bardzo wątpię) to również próżna obawa... gdyż jeżeli nie będzie Stasia, to się znajdzie zapewne Tymek, który przecież musiał być coś wart kiedy go kawiarka przeniosła nad Stasia.

Zdaje mi się jednak... chociaż to domniemanie tu rzuciłam, iż żadna z kobiet naszych niezastraszyłaby się temi pogróżkami. Lecz co prawda to nie grzech. Troszkę lenistwa i brak chęci zastanowienia się dłuższego wstrzymuje ich od pisania. Bo talentu zapewne nie brak u wielu, a przedmiotów jest także dosyć, gdybyśmy tylko chciały spojrzeć wkoło siebie z uwagą, i zadać pracy w ułożeniu w obraz tego co się widzi, lub nadać formę rozmowie towarzyskiej którę się słyszy. Cóż dopiero te co lubią myśleć i czas mają na to?... Czyż to niejedna z osamotnionych, na wsi żyjących kobiet która się nudzi i musi szukać dla zabicia czasu sąsiedztwa o dwie mile lub dalej, z wszelką niewygodą dróg pobocznych, niewolałaby zapełnić czas swój pismiennictwem użytecznem lub przyjemnem, poświęcając kilka godzin na to.

Szczególniej też te kobiety którym majątek pozwala mieć guwernantkę do dzieci, pannę do obszycia, szafarkę do wydania, kucharza do gotowania, lokaja do sprzątania... O! jakże dużo! dużo mają czasu.

Odzywając się w zachęcający sposób do pismiennictwa, do moich rodaków i rodaczek, nieuczyniłam to przez zarozumienie, aby słowa moje miały wywrzeć wpływ przeważny na dotychczasową obojętność dla literatury.. miałam owszem na uwadze, iż głos mój będzie głosem wołającego na puszczy; tem bardziej że to kobieta nie ś. Jan woła... a dziennik będzie próżny jak zeszłego roku... i szczerze wyznam, iż zaczęłam się wahać z przesłaniem tych słów kilku... obejrzałam się szukając doradźcy przypadkowego... a ujrzawszy w wazonku kwiatek chryzantyny, uszczknęłam go i obrywając listek po listku, pytałam się tej wyroczni uczuć niepewnych, co robić? Posłać? nieposłać?... Posłać? nieposłać?... a gdy wypadło... posłać!.. Niech więc w imię boże idzie w świat to com napisała. Wszakże zawsze niechybię zupełnie celu, zapełniając parę kartek w dzienniku.

ONA BYŁA NIEWINNA.

POWIASTKA

przez

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Jeśli w przepaść się pochylę
Jeśli w głowie się zamęci,
To do serca przyciśń chwilę,
A strach wyjdzie mi z pamięci.
A. Z.

Szumią puszcze Miodoborskie. Jesienna burza rozszalała się po nad niemi. Gór szczyty owinęła ciężkiemi, czarnemi całunami, a chmury przerzuca po niebie, bałwanami wiatru szaleje po lasach, rzuca garściami liści odartych, łamie dęby, rwie skały. I prócz huku wiatru, prócz szumu dębów, co ostatkiem sił bronią się wściekłej szarudze, cisza po borach, co drzą przestrachem. Pod kupami liścia, gad zaczajony nie śmie przemknąć, tak mu straszno o życie śród rozdąsanej burzy, zająca niema, wilk i orzeł przylgnął do gniazda. A burza coraz okropniejsza huczy po skałach, falami deszczu je płucze, żłobi potokami, straszy błyskawicą. Straszny i spaniałyto widok, kto weń popatrzeć może okiem i duszą odważniejszą nad oko orła i gadziny. Lecz wy może nie macie tych wernetowskich smaków, duszy lubującej w pięknych okropnościach, to możeście widzieli Miodobory w innej chwili, możeście je widzieli orzucone weselną wiosny osłoną, śmiejące się, grające szmatami gajów bez końca, ponure wierzchołkami skał siwych, święte swych gruzów resztkami, tajemnicze szmeranie Zbrucza, zawsze piękne, zawsze spaniałe!.. Może je znacie w pieśniach Tymona. *) Możeście te ścieżki niedeptane przebiegli kiedy dłoń w dłoni, z kochaną osobą, z aniołem duszy, możeście tu zgubili dzień jeden, najpiękniejszy z życia, dzień marzenia i nadziei... O! toście poznali śliczne Miodobory...

Tu za każdym krokiem, pod temi cienistemi sklepieniami klonów i dębów, pod szmerem brzoz i olch, ileż nie śpi pamiątek, na każdym wierzchołku góry! Tam drzewa rosną, pięć chłopów weźmie się za ręce, a nie obejmie dęba. Ostatkiem sił drzyj się na skałę, a niedosięgniesz szczytu. Gdzie niegdzie nogą trącisz o gruz jaki, a nad nim drzewo zaszumi podaniem. Masz duszę i ucho wzwyczajone do szumu, to wysłuchaj je. Zgrzybiałe, wpółśpiące, ledwo półlicem błyśnie, przelotnie zemknie zasłonę wdzięków i znowu zawstydzone, dziewicze, wpółzrozumiane idzie spać w liściu drzew, po skał rozpadlinach. I nie szukane zamierają tam one jedne po drugich, więdną jak kwiaty, bez słońca duszy, coby je odwołała do życia, niema stopy coby się darła po skałach i zatrzymywała co krok. Ileż by starych dziejów nie upoił tam myśli! Ileż nie powiedziałoby Zamczysko ów gruz porośnięty, o dziczy Tatarskiej, o jękach, o bitwach. Dalej Dziewicz zielonowłosy. Na Sokolisze wygnieździły się sokoły i orły, całemi stadami z rozpadlin wylatują, krążą po chmurach, po nad skał wierzchołkami, klekocą krzywemi dzioby i biją skrzydłami na burzę. Ślepym jarem wilk ciągnie, ostatni potomek żubra i niedźwiedzia, po których poryku drzały dalekie puszcze i chmury. I śród tych gór dziwacznych, śmiejących się i ponurych, zieleniejących i ciemnych, jak sina tęcza krętym łukiem rzucona, po barwnym kobiercu przemiennych widoków. Zbrucz śliźnie, zielonem sitowiem ubrany, gdzieniegdzie zwierciedlący śród wysokich brzegów, dalej tajemniczy, zakryty, owiany szumem gajów i szmerem wodnego kwiecia, muskany skrzydłem leśnego ptaszka, co dziki, przemyka od góry do góry.

Tam dalej w cieniu drży krynica żywa,
Jak w sercu miłości drżenie;
A strumień od niej nigdy nie odpływa,
Jak od pamiątek spomnienie *)

Tutaj, przy tym zdroju szemrzącym cicho a wiecznie, ileż razy śnił Tymon, ile przeroił obrazów, ognistych, posępnych, rzewnych, o pięknej przeszłości, o najpiękniejszej Helenie swojej! Tu piersią pełną wyśpiewał łabędzie dumy swoje, co popłynęły gajami i daleko, daleko rozwiały się po szerokich niwach podolskich... Święte lasy! Duch pamiątek, duch wieszcza wzlatuje nad wami, nie przebrzmi marno ani jeden głos pieśni, co szumią liściami waszemi... Bądźcie błogosławione wy stare puszcze!...

Na górze stromej jak inne, ciemniejszej niż inne, wysokiemi zarosłe drzewami, wały i gruzy Dźwinogrodu. Tatarzy łakomą hordą nadbiegli pod miasto, radziby zrabować i wyrznąć. Bogaty łup kusi, piękne branki myśl łechcą; ale Zbrucz broni przystępu. Wąski i cichy, on jeden głębią swoją stanął na zawadzie rozjuszonej hordzie, i trzyma ją na wodzy i broni. Lecz była stara kobieta. W starej duszy wymarły uczucia. Pokazała gdzie kaczki w bród przechodzą. Biedne miasto! Pożarem i krwią się zalało. Głośne jęki leciały daleko i doleciały uciekającą przed

*) Tymon Zaborowski mieszkał blisko Miodoborów. Tutaj często przebywał, lubił je i pisał o nich.

*) Z poezij Tymona Zaborowskiego.

jękiem braci, co padali ofiarą jej zdrady. Skamieniała na zawsze, i łysa, ponura sterczy Babina góra. Piorun drze jej warkocze, sęp burzy rwie kawał po kawale... Próżno, wiecznie straszna i pochmurna, pomnik hańby i przekleństwa! okropne sny bez końca, przemarza w kamiennej skroni. Piękne podanie! Takich tam pełno; bo na tej ziemi podań mnóstwo. Mają o czem śnić stare dęby i szumieć gaje. Tylko słuchać trzeba.

Tuż nie daleko Babinej, na drugim wierzchołku ciemnym i stromym, wybiegła, jakby jeden wysoki kamień, prostopadła skała. Wysoka i siwa, śród krzaków i drzew gęstych, śród samej zieloności, co ją otacza wiosną, zawalona kupami liści żółtych jesienią. Tuż obok malowniczo pozawiszały bryły kamieni jak wieńce. Straszne, ogromne olbrzymy! Wiecznie grożą upadkiem, a żadna burza nie strąca ich. W tej skale, dziwnym cudem wytrwania i pobożności, ręka jednego człowieka, ręka wyschła starością i pracą, wykuła piękną kapliczkę, niby pomnik dla siebie; treść pobożnego życia ujęta w kamień, na pamiątkę i naukę dla potomnych... Małe drzwiczki prowadzą do środka, piękny ołtarzyk w końcu skalnego sklepienia. Na nim krzyż i dwie figury świętych, tąż samą ręką wykute. Obok mała cela, z jednem okienkiem, z wąskiem, kamiennem łóżkiem, w kamiennej wykutem framudze. Na łożu kamienna poduszka, jedyny sprzęt przepychowy pustelnika... A na szczycie tej skały, co jakby jednym stromym kamieniem wybiegła wysoka pomiędzy drzew wierzchołki, wysoki błyszczy krzyż kamienny I pięknie jaśnieje krzyż ten, ponad te ciemne puszcze pełne wilków i borsuków; tuż obok gruzów zlanych mordami tatarskiej dziczy... piękny znak miłości i wiary. Piorun go nie tknie, burza z poszanowaniem omija; tylko drzew wierzchołkami wybije pokłony, nogi omuśnie całunkiem, i tak wiecznie nietknięty burzą, niezestarzały, jasne ramiona wyciąga z góry, ów krzyż miłości i odkupienia.

Ileż tu nie odbędzie się rokrocznie pielgrzymek w to piękne, a święte miejsce. Ztąd każdy wraca pocieszony, lepszy. Stary pustelnik każdemu umie dać budującą poradę. Znają go wszędzie we wsiach okolicznych. Gdzie wstąpi do chaty, tam błogosławieństwo z nim razem wstępuje, zdrowie i dostatek. Bo on łaskę bożą wymodlił sobie życiem pełnem pokory i cnoty. Postem i modlitwą, czynem i słowem, on ciągle pracuje dla siebie i dla drugich. Innym na szczęście ziemskie i zbawienie, sobie na spokój sumienia. Co ziół leczących mają Miodobory znanych i nieznanych światu, on je wszystkie odszukał i poznał własności. Wie doskonale komu dać i w jakiej ilości. Toteż mało kto cierpi, mało kto umiera w sąsiednich wioskach, a wszyscy błogosławią starego pustelnika. Pieniędzy niema; lecz każden z przychodniów rzuci mu grosz jaki, to i on jałmużny ciągłe daje. Ileż łez nie osuszył! A zostawią mu bułkę chleba, on i tego nie spożyje usty wzwyczajonemi do postów; lecz wie dokładnie gdzie głód najsrożej dokucza, nędza ciśnie, gdzie pomoc najpotrzebniejsza, i tam oddaje te dary w zamian za wdzięczność i błogosławieństwa. Takie jest życie starego pustelnika. Nikt nie zna dawniejszych dziejów jego, ni dawniejszego pobytu. To tajemnica jego duszy, zagadka uczuć. Głęboko skrył ją pod sercem... nigdy dla oka ciekawców, nie przeleci żywszą błyskawicą po marmurowej twarzy, skrytej pod szarym kapturem; i tylko czasami w głębi duszy samotnika odgrywa tajemniczą, posępną muzykę spomnień.

Szumi ulewa po ścianach kapliczki. Rozdąsane potoki deszczowe tysiącem wstęg rozbiegły się we wszystkie strony. Burza z łoskotem szaleje śród lasów. Straszno i ciemno! Masy chmur nie pokazują słońca. Wkrótce już zupełna noc zapadnie W kapliczce ledwo oświeconej półbrzaskiem dnia klęczą trzy osoby. I razem płynie ich modlitwa rzewna, gorąca, a przecie różna. Blada i drżąca urywanem westchnieniem modli się Amelia. Drży jak kwiat, że smutno patrzeć w tę piękną twarz jej, tyle znać wysilenia duszy. Obok niej klęczy Bolesław. Okiem serdecznego żalu wpatrzył się w nią. Tuż przy nim skarb jego, na jaki słowa niema. W jego dłoni jej zdrowie, jej szczęście. Drży o nią. Każdy nowy obłok, co bladością po jej twarzy przeleci, tęskny uśmiech co usta jej zmarszczy, którymby rada pokryć niepokoje duszy, lęka go. Roskosz i piekło pomieszały się w duszy. A przy nich, spokojny jak oko opatrzności modli się pustelnik. On starem okiem wiele już błędów widział, wiele przebaczenia wymodlił staremi ustami. To jego modlitwa płynie beznamiętna, a rzewna i jasna; może im szczęście wymodli

Wstał, wyciągnął sędziwą rękę i pobłogosławił modlącej się parze.

Była to chwila uroczysta

»Przysięgam« rzekł Bolesław, biorąc rękę Amelii.

»Przysięgam ci« odrzekła głosem cichym, dźwięczniejszym od najrzewniejszej muzyki.

»Wiecznie!« zawołał Bolesław w uniesieniu i konwulsyjnem zadrżeniem ręki jego trącona zadrgnęła ręka Amelii. To było pierwsze ręki ściśnienie, lube, wzajemne... Elektrycznym ogniem przebiegło wszystkie nerwy młodzieńca, pieszczotnie załaskotało serce,

i całą duszę zalało falami niewypowiedzianej rozkoszy, jaką nigdy nie paliły się myśli, jakiej jeszcze nigdy nie było dla niego!..

Po modlitwie przeszli do małej celi. Radby ich czem przyjąć starzec. Ma chleb świeży i suszone owoce. Lecz Amelia jeść niechce. Nie myśli o posiłku. Siadła na kamiennem łóżku, ciśnie się do boku Bolesława. Cała drży jakąś niepojętą nieznaną obawą. Lęka ją burza, szmer liścia, stąpienie starca. Serce jej bije nieznanem drżeniem. Jeden Bolesław, to jej opieka, jej wszystko. Drżąca, opuściła głowę na jego ramię, i sama niewie czemu jej tak smutno, tak straszno. Jutro już będą bezpieczni... Gościnny klasztor przyjmie ich. W obliczu kościoła i prawa powtórzą tymczasowe śluby; lecz dzisiaj wszystko ich jeszcze lęka i wszystko im grozi.

Nastała burza, i deszcz nie pada. Tylko zmrok wieczorny zaczyna cieniować skał zasłony. Czasem fala wiatru zatrzęsie liśćmi, i rzęsiste, grube krople deszczu posypią się na ziemię. Czasem błyskawica biała, okropna przeleci po puszczach, i tylko deszczowe potoki wciąż szumią z gór, opłukują drzew stopy, i szeleszczą kupami zeschłego liścia, porywają je z sobą.

Bolesławowi i Amelii czas w dalszą drogę. Sami piechotą muszą iść do bliskiej wioski, dokąd wysłali najprzód jednego swego służącego powiernika dla przysposobienia noclegu. Straszna to podróż nocą i po deszczu; ale odbyć ją trzeba. Po wązkich, skalistych drożynach puszczy żaden powóz nie przejdzie, ni koń się nie utrzyma na śliskiej ziemi. Potrzeba korzystać z krótkiej przerwy deszczu. Wstali. Bolesław owinął Amelią jak mógł najstaranniej. Ucałowali wyschłą rękę staruszka, tę rękę ciężarną błogosławieństwem bożem. Raż jeszcze uklękli przed ołtarzykiem kapliczki, i wnet westchnieniem i ostatnim rzutem oka, pożegnali na zawsze pustelnię i staruszka.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Kronika literacka.

Z nowszych dzieł polskich na większą uwagę zasługuje wydane w Lipsku »O Algierii« przez L hr. B. (Bystrzonowskiego) Autor wziął za godło: Bogatym będzie, kto obcych nauki i przykłady umie do swoich potrzeb stosować, umie tamże czerpać i światło i siłę. W tym celu przeszedłszy treściwie historią i geografię tego kraju, opowiada głównie o wypadkach zaszłych od czasu zajęcia Algierii przez Francuzów. System drobnej wojny podjazdowej wyłożony tu praktycznie w siedmnastoletniej walce Abdel-Kadera z Francuzami. Bezstronnie i ze znajomością rzeczy ocenione stosunki i wypadki. Bez przesady powiedzieć można iż z kilkunastu w ostatnich latach wydanych dzieł o Algierii przez Francuzów i niefrancuzów dzieło Bystrzonowskiego odznacza się zdrowym i nieuprzedzonym sądem.

Ładną powieść »Kirgiz« Gustawa Zielińskiego wydał bardzo ozdobnie J. Bobrowicz w Lipsku. Dołączonych jest pięć obrazów litografowanych i mnóstwo w drzewie rytych podług rysunku hr. Alexandra R... których przedmiot wzięty z powieści. Obrazy te uderzają nie tylko trafnym rysunkiem, osobliwie koni, lecz i szczęśliwem pochwyceniem a nawet podniesieniem poetycznej myśli pisarza. Jest to u nas pierwszy w tym rodzaju poemat, ztąd świeżość jego barw i pierwsze tak ozdobne wydanie dzieła.

Zwracamy uwagę czytelników naszych na zbiorowe warszawskie pismo »Dzwon literacki.« Jeszcze przeszłego roku wychodzić zaczęło; nas doszło teraz dopiero pięć zeszytów tomu drugiego, redaktorem jest znany z humorystycznych pisemek Wilkoński i J. B. Dziekoński. Każde pismo nowe powinna wywoływać potrzeba, myśl, dążenie nowe, które dotąd w pismie innem nie objawiło się. Jaką myśl lub dążenie nowe ma przedstawiać Dzwon literacki, jasno jeszcze nie widać. Jedynie w krytyce pan J. B. Dziekoński okazał się jako surowy wprawdzie lecz gruntowny krytyk, który sąd swój opiera na podstawie szerszej niż dotąd czyniono. Lecz czyż nie mogły jego prace wejść w zakres Biblioteki warszawskiej i podnieść części krytycznej tego pisma. Obok dwu lub trzech trafniejszych sędziów w tem pismie prace pana Dziekońskiego zajęłyby przynależne stanowisko; a rozdrabianie sił, jeśli ich niema poddostatkiem, zgubne będzie zawsze. Dowcipne rozbiory pana Wilkońskiego i przypiski redaktorskie nietrafiają wcale do przekonania a nawet nudzą. Dowcip jego przed kilku laty miał świeżość, więc podobał się. Dziś zużył się, brakuje mu widocznie treści i głębszego zapatrywania się na życie. Pożniej donosząc o całem dziennikarstwie warszawskiem powiemy więcej i o tem pismie.

Z nowości literackich warszawskich wydanych w tym roku ważniejsze są: »Kodex dyplomatyczny Polski« obejmujący przywileje królów polskich, wielkich xiążąt litewskich, bulle papieskie, nadania prywatne mogące posłużyć do wyjaśnienia dziejów wewnętrznych krajowych, dotąd nigdzie niedrukowane, od najdawniejszych czasów aż do roku 1506. Wydany za staraniem i pracą Leona Rzyszczewskiego i Antoniego Muczkowskiego, wzbogacony przypisami przez Antoniego Helcla.

»Milion posagu« powieść przez J. I. Kraszewskiego 2 tomy.

Filip Romanowski nauczyciel rysunku, ogłosił prospekt na: Teorią pierwiastkowych zasad nauki rysunków uważanej z punktu widzenia artystycznego.

We Lwowie wyszedł tom pierwszy »Rozpraw galicijskiego Towarzystwa gospodarskiego.« Kosztuje 1 złr. m. k.

Kronika muzyczna.

W żadnym zawodzie dobieranie tytułów do dzieł nie ma takiej rozmaitości jak w muzyce, a osobliwie salonowej. Tytuł muzycznego dzieła jestto frak i jasne rękawiczki, które wstęp jednają do salonów. W tym względzie kompozytorowie stosują się do smaku swych łaskawców. Przed dziesięciu laty apelowali więcej do zmysłów. Napisy *»Bonbons, Bouquets«* były powszechnie używane. Dziś ignorują nos i język, a przemawiają wprost do serca, do umysłu. Czyż miałaby zajść zmiana w życiu salonowem? Napisy bowiem *»Douleur, l'Esperance, Confidence«* itd., są dzisiaj *en vogue.* Prawda że zdarza się często, iż na dziele z napisem *l'Esperance* mogłoby stać i sto innych modnych tytułów a nawet i dawniejsze *»Bonbons«*, lecz w tym względzie kompozytorowie odpowiedzialności się nie boją, bo ich nikt do odpowiedzi nie zawezwie, jak nikt nie pyta w salonie jakie serce bije pod czarnym frakiem, lub ile mózgu siedzi pod ufryzowanemi włosami. Otoż i my przechodząc najnowsze pojawy kompozycii salonowej na fortepian, nie będziemy rozwodzić się nad niestosownością częstą napisów. Przywileju tego trudno odebrać muzykom. Zaczniemy od Liszta, tego naczelnika dzisiejszych pianistów, który świeżo wydał »sześć numerów pieśni na fortepian« (Poesies) 1) *Loreley.* 2) *Au Rhin.* 3) *Mignon.* 4) *le Roi de Thule.* 5) *Invocation.* 6) *Angiolin.* Cena 4 złr. 30 kr. m. k. Xięga pieśni (*Buch der Lieder*) jest muzycznem objawieniem uczuć poety. Znana excentryczność w technice tego kompozytora, w tych pieśniach nie gra głównej roli. Trudności technicznych w nich mało, a nawet właściwa Lisztowi romantyczna sentymentalność, podnosząca uczucie do takiej wysokości, w której właściwie żadnego uczucia już niema, ustąpiła w tych utworach uczuciu rzewnemu, szlachetnie poważnemu. Kompozycie te w salonach będą miały wielkie powodzenie. Lecz czy rozmaite napisy odpowiadają treści, czy istotnie objawiono to tonami co poeta słowem uczynił, to pytanie inne.

Dla mniej biegłych pianistów *Ch. Vossa Op. 67. Le Flaneur* polecamy jako odznaczające się lekkością i świeżością.

Kobieta Fany Hensel wydała w Berlinie swoje op. 2. *»Vier Lieder für das Pianoforte«* 1 zeszyt. Widać w nich głębokie studia sztuki co do zewnętrznej formy, a treść jest swobodna i rzewna. Osobliwie pieśń czwarta jest piękna. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Z Warszawy. Nakładem xięgarni i składu nut Ign. Klukowskiego wyszło nowe dzieło na fortepian przez Józefa Sikorskiego Szkoła ta jest zastosowana do stopniowego postępu uczniów i tak ułożona, że i osoby z zawodem nauczycielskim mało w muzyce oswojone, mogą podług niej ucznia prowadzić. Przykłady są po większej części z muzyki polskiej czerpane.

TEATR.

W tutejszem pismie niemieckiem *»Leseblätter«* (kartki do czytania) zgromiono dziennik mód i pana J. Dobrzańskiego, iż poważył się zganić niemieckie przerobienie Korzeniowskiego komedii »Okno na pierwszem piętrze.« Kto chce przekonać się jak gburowato to pismo traktuje piszących polskich i dziennik mód paryskich, niech raczy przeczytać ten artykuł przepełniony nie dowodami na uczynione zarzuty, lecz osobistem szkalowaniem wracającem zawsze do tego tematu; co za jeden jest ten J. Dobrzański, iż odważył się zganić niemieckie przerobienie zdziałane przez tak znakomitego pisarza. Redakcia dziennika wstydząc się w podobnym tonie odpowiadać, a nie znalazłszy w tym artykule najmniejszego nawet napomknionego dowodu na uczynione w jej pismie zarzuty, prócz znakomitości mniemanej autora... śmie odezwać się iż nawet istotna znakomitość nie nadaje przywileju doskonałości, cóż dopiero gdy sława dramatyczna przerabiacza Korzeniowskiego znana jedynie z przedstawionej później na tutejszej scenie niemieckiej komedii *»Er hat keinen Rock«* (Niema surduta). Otoż właśnie w tej komedii poznaliśmy dawną i to dawną znajomą. Jestto powtórzenie żywcem znanej w niemieckiem a nawet i w polskiem dobrem tłumaczeniu Wincentego Thulliego komedii francuzkiej »Dwóch przyjaciół o jednym surducie«. Pomysł jest drobny. Dwoch przyjacioł przehulało wszystkę garderobę tak, że tylko jeden surdut obydwom pozostaje. Gdy jeden wychodzi, drugi bez surduta siedzieć musi. Ztąd wypływające komiczne sytuacie podchwycił zręcznie francuzki pisarz i w lekkiej jednoaktowej zmieścił komedii, bo na więcej i treści nie było. Niemiecki pisarz nie tylko że popełnił plagiat, bo kilka osób niezgrabnie dodanych nie odmienia rzeczy . lecz rozwałkował lekką jednoaktową komedią na... trzy akta. Pomysł, charaktery osób, cała osnowa, następstwo scen i ich zdramatyzowanie a nawet całe dialogi pozostały te same, a jednak drobna treść zgubiła się w trzech aktach i zrobiła komedią niezgrabną i wcale nie wesołą. Wprawdzie o tem wszystkiem szerząca sławę pana Dr. filozofii Wurzbacha, krytyka w *Leseblätter* przemilczała. Nieposądzamy nawet aby to z umysłu uczyniła, lecz przyczyną jest niewiadomość której dowód dała świeżo w ogłoszeniu pism znanego niemieckiego poety Ed. Voigta, jako utworów cudu jeniusza, dziesięcioletniego chłopca, J. Baracha. Ależ pismo przyjmujące bezimienne obelgi odpowiedzialność bierze na siebie. Bo nie dziwimy się obrażonej miłości własnej, która od początku świata w ten sposób objawia się najczęściej.

Red. Dz. m. p.

W numerze przeszłym w kronice muzycznej zaszła pomyłka; zamiast po Niemczech, wydrukowano pan Niemczot, a zamiast Itali czytaj Halli.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.